Rok II. 9 listopada 1930. Nr. 42.

DZWONECZEK

BEZPŁATNY DODATEK TYG. DO „DZWONU NIEDZIELNEGO" Nr 45

Sierotka

— Wiecie, będziemy miały w tym roku aż trzy dni wolne na Wszystkich Świętych! — mówiła do koleżanek swoich w czasie pauzy Janka, – tak tatuś mój wyczytał w dzienniku.

— Hurra, brawo! — krzyknęły dziewczynki uradowane. To dopiero doskonale! Tak dawno już nie było wolnego!

— Cicho, nie krzyczcie tak, bo nie macie z czego się radować! — upomniała koleżanki Stasia. — Biedna Jadzia usłyszała was i płacze tam w swojej ławce. Przypomniał jej się ojciec.

Rzeczywiście Jadzia straciła parę tygodni temu ojca. Święto Umarłych, na które jej koleżanki tak się cieszyły, było dla niej żywem przypomnieniem świeżej, bolesnej straty, toteż zaczęła płakać żałośnie, oparta o pulpit ławki.

Dziewczęta umilkły w jednej chwili i spoważniały. Groźny majestat śmierci i ból sieroctwa powiał mroźnym oddechem po ich serduszkach i zwarzył ich wesołość. Patrzyły z uszanowaniem na czarno ubraną postać swej towarzyszki, wstrząsaną łkaniem. Nie śmiały się zbliżyć do niej. Dopiero Marysia, najstarsza z koleżanek, podeszła do niej; zaczęła tulić ją i pocieszać szeptem. A Stasia również szeptem mówiła do koleżanek:

– Trzeba będzie coś wymyślić, żeby pocieszyć to biedactwo. Ona gotowa przepłakać te trzy dni i jeszcze się rozchoruje.

— Więc niech ją każda z nas zaprasza codzień do siebie i zabawia, jak umie.

— Jadzia jest za duża i za poważna, żeby miała się zabawić, jak małe dziecko i zapomnieć o swym smutku. Trzebaby jej dać uczuć, że współczujemy z nią, z jej matką i rodzeństwem – mówiła Stasia.

— Więc co radzisz robić, kiedyś taka mądra? — spytała Józia, trochę wyśmiewająco, bo nie lubiła Stasi.

— Jadzia jest uboga, teraz jeszcze uboższa niż przedtem, złóżmy się więc po kilka groszy, kupmy wianuszek na grób jej ojca i chodźmy razem grób oczyścić, uporządkować i jako tako przyozdobić. To jej będzie napewno miłe i trochę ją pocieszy.

—Prawda, doskonały pomysł!—ucieszyły się dziewczynki.

— A ja poradziłabym wam jeszcze inaczej — odezwała się milcząca dotąd Julka. Była ona nieśmiała i cichutka, rzadko kiedy odzywająca się do ogółu klasy.

— No, co takiego? —spytały zaciekawione dziewczęta.

— Ksiądz katecheta mówił, że najlepszy dowód pamięci i miłości dla umarłych, to modlitwa. Dajmy na Mszę św. za duszę ojca Jadzi i chodźmy wszystkie na nią!

— A grobu nie ubierzemy? To tak smutnie patrzeć na opuszczoną mogiłkę.

— Owszem, ubierzemy, ale swojemi kwiatami. Każda ma napewno jakie kwiaty w doniczkach w domu. Zebrać kilka, grób się ubierze bardzo ładnie i dłużej będzie ładnie wyglądał.

— Może to i lepiej, tak, jak Julcia radzi przyznała Stasia.

— Prócz tego można ją będzie odwiedzić, lub zaprosić do siebie, jeżeli jej matka się zgodzi, tylko trzeba się umówić między nami, które się tego podejmą, żeby dużo naraz nie przyszło do niej. Zarazby było głośno, a toby mogło być przykre jej i matce.

Wybrano kilka koleżanek, żyjących bliżej z Jadzią, którym polecono przeprowadzić plan, ułożony przez koleżanki.

Plan udał się w zupełności. I Jadzia spędziła te trzy dni mniej smutno niż się zdawało. Czuła bowiem, że smutek jej, podzielany szczerze przez koleżanki, stał się mniej dotkliwym. Zupełnie tak, jakby jej ktoś pomagał nieść wielki, wielki ciężar. Nic nie przynosi bowiem takiej pociechy w nieszczęściach i smutkach, jak czuć przy sobie wierne, kochające serca.

T. St.

Ledwiem na świat przyszła

Ledwiem na świat przyszła, takam była mała,
Już mi moja mama po polsku śpiewała,
Wnikały w głąb serca, do duszy te dźwięki,
Te prześliczne, słodkie, rodzime piosenki.
Nuciła je mama nad moją kołyską
I dlatego Polsko, tak drogąś mi, bliską!
Kocham cię rodzinna ty moja kraino,
Cieszę się, że polską zowię się dziewczyną.
Nim zaśpiewam dzieciom i wnucząt gromadce,
Nucę dziś laleczce o Ojczyźnie—Matce,
Że kochać ją trzeba do życia ostatka:
Wiwat! Niech nam żyje Polska, nasza Matka, P. W.

Z krwawych dni

(Ciąg dalszy.)

— Wszędzie dziś to samo — westchnął zakonnik — Ruś i Polska aż po Śląsk we krwi i ogniu. Trzeba pokuty i modlitwy, które jedne mocne są powstrzymać chłoszczącą nas prawicę Bożą.

— Modlim się dzień i noc — rzekła ze łzami pani Agnieszka — ale widno modły nasze niegodne są, kiedy poprawy żadnej niema.

— Pomodlim się dziś wspólnie i nowej modlitwy was nauczę, skuteczniejszej nad inne, bo ją sama święta Boża Rodzicielka raczyła objawić ojcu naszemu, Dominikowi świętemu.

— Naprzód, Ojcze, raczcież posilić się — rzekła pani, bo właśnie pachołkowie wnieśli dwie dymiące misy i dwa dzbany z miodem grzanym. Zakonnicy przeżegnali jadło, zmówili modlitwę po łacinie i zaczęli się posilać. Gdy skończyli, pomodlili się znowu i podziękowali pani Agnieszce. Poczem jeden z nich wziął w rękę wiszący mu u pasa sznur, z nanizanemi nań paciorkami z drzewa.

— Spójrzcie, szlachetna pani, na te paciorki, które w łacińskiej mowie wieńcem z róż się zowią. Naszemu ojcu św. Dominikowi ukazała się raz Boga Rodzica, trzymająca w Swem ręku wieniec róż czerwonych i białych, i kazała mu się razem z Nią modlić i 15 tajemnic Jej ziemskiego żywotu rozważać. Przesuwała w Swych rękach róże onego niebiańskiego wieńca, mówiąc kolejno po sobie 10 Pozdrowień Anielskich na różach białych, a potem jedną modlitwę Pańską na róży czerwonej.

Przy każdej dziesiątce rozpamiętywali naprzód pięć Jej radości, potem 5 boleści, wreszcie 5 zdarzeń chwalebnych. Gdy skończyli, powiedziała mu: „Oto modlitwy najskuteczniejsze w walce z wrogami Mego Syna! Naucz synów twych i wszystkich ludzi, modlić się w ten sposób, by usta ich odmawiały te dwie najmilsze mi i Synowi Memu modlitwy, a serca ich rozważały święte tajemnice". To mówiąc, dała mu taki sznur z paciorkami, jako ten, który u mnie widzicie i znikła. Posłuszni Jej rozkazaniu chodzimy głosząc słowo Boże i ucząc Różańca, jak owe modlitwy od owych róż nazwaliśmy. Choć Ojciec nasz Dominik w chwale niebieskiej od 20 lat żyje, my niestrudzenie dzieło jego prowadzimy. Oto jeden z uczniów jego, przybyły do Polski z bratankami biskupa Iwona Odrowąża. Rzymianin jest i nie mówi naszą mową choć ją rozumie. Uszliśmy z Krakowa w lasy przed dziczą tatarską, a teraz przeor nasz wysyła nas do włoskiej ziemi z ważnemi listami. *C. d. n.*



Anna Kozłowska.

Podróż na księżyc

(Dalszy ciąg).

Rodzice chłopców właśnie w tej chwili
Jak zwykle rano śniadanie pili.
Wtem ojciec patrzy: ludzi gromada
Z wielkim hałasem coś opowiada.
Wybiegł przed bramę — pyta ze strachem,
Czy może nowa wojna powstanie?
Oni zaś wszyscy: „W górę patrz, panie! —
Chłopcy zmykają — już są nad dachem!"
Gdy biedne matki dzieci ujrzały —
Już tak wysoko, i coraz wyżej,
Z wielkiego strachu biedne pomdlały,
A oni mknęli chyżej i chyżej.
Wszystko z przed oczu zaczęło im znikać:
Domy, ogrody i wieża kościoła,
Już i rękami chmur mogli dotykać,
A głucha była tam cisza dokoła.
Gdy tak pędzili w tej chmurnej gęstwinie
Pyta się Jasio: „Czy daleko jeszcze?
Czy też nasz pojazd te chmury przeminie
I czy się z tobą na księżycu zmieszczę?"
— „O to się nie martw", rzecze Grześ po chwili
„Lepiej dobądźmy coś z naszych zapasów,
Byśmy się obaj dobrze posilili,

T. St.

Na jednej ławie

2) (Nowelka).

Po obiedzie był zawsze czas przeznaczony na zabawę w ogrodzie przed domem lub na spacer, o ile mamusia miała czas, dziś jednak Karolek nie miał ochoty do żadnej zabawy. Siadł przy swoim stoliku i zaczął rozpakowywać książki, układać je na półce, a następnie zaraz zabrał się do lekcji na dzień następny, bo go jednak gryzło bardzo, że dziś nie umiał. Poprawić się zaraz nie było tak łatwo, jak o tem zapewniał przy obiedzie matkę. Klasa ich była liczna, pytanie na klasy wypadało dość rzadko na każdego z uczniów. Ilekroć pomyślał o tem, tyle razy wzbierał w nim gniew na Franka. — To wszystko przez tego, tego paskudnego obdartusa — myślał. — Najlepiej nie będę się do niego odzywał, ani nie zwracał uwagi. Niczego mu nie pożyczę, ani mu nie będę dopomagał w zadaniach — zacinał się coraz bardziej. Pod wieczór przyszedł z wizytą Jasiek i wspólnie rozpamiętywali swoją niedolę.

Rozmowa z mamusią na temat wydarzeń szkolnych nie odbyła się, bo mama nie miała dziś czasu.

Nazajutrz w szkole przed nauką Karolek podszedł do ławki,

Bo potem może zabraknąć nam czasu".
Jadą i jadą, i wciąż jeszcze jadą —
I nic nie widzą, oprócz chmur bez końca,
Co się ciągnęły olbrzymią gromadą
W różnych kierunkach i naprzeciw słońca.
Zwątpienie w serca zaczęło się wkradać,
A tu jak na złość i deszcz zaczął padać.
Szczęściem wzięli parasol, więc go o-
[tworzyli —
I przed ulewnym deszczem obydwaj się
[skryli.
Jasio już zaczął płakać, Grzesio go pociesza,
Wśród tego zaś ich pojazd co raźniej
[pospiesza.
— — — — — — — — —
Wreszcie o cudo! i cóż zobaczyli? —
Obaj z podziwu aż zaniemówili! —
Minęli chmury, — a ponad chmurami,
Ujrzeli błękit, usiany gwiazdami.
Gwiazdy tak duże — taka moc ich wielka,
Na nicby zdała się wymowa wszelka.
Ku mlecznej drodze pojazd skierowali
I znów jechali dalej... dalej... dalej...
Tęczowych blasków cudne kolory
Kładły się cicho po mlecznej drodze,
Byliby na to długo patrzeli
Ale znużonych sen zmorzył srodze.
Jak długo spali, trudnoby powiedzieć;
Już im się w koszu naprzykrzyło siedzieć,
Choć wkoło jaśniał przecudny poranek.
„Tu by się przydał nam jakiś przystanek!"
Patrzą się wkoło, czyby gdzieś na
[gwieździe
Nie spocząć trochę w tej szalonej jeździe.
Lecz cóż, gdy gwiazdy tak szybko się kręcą,
Że do przystanku wcale ich nie nęcą.
Jasio znów w beki, że już tyle czasy,
Jadą i jadą, nie widząc księżyca.
Grześ go pociesza dając mu kiełbasy,
Która Jasiowi wypogadza lica.
Naraz się patrzą, aż wtem ponad niemi
Olbrzymi talerz srebrzysty się mieni,
Na nim jakgdyby piramid tysiące.
To księżyc, księżyc! błyszczący jak słońce!
Ich wielka radość nie miała już granic,
Trudy podróży teraz były za nic,
Gdy tak szczęśliwie na księżyc trafili,
Z triumfem w sercu, że nie zabłądzili.
I już za chwilę — za chwileczkę małą —
Nareszcie wiedzieć będą prawdę całą.
Wreszcie kosz stanął na twardej skorupie,
Grzesio z radości aż nóżkami tupie,
Jasio przykładnie Grzesiowi wtóruje:
Tak to się nasza pareczka raduje.

---

w której siedział Jasiek. Rozmawiając z nim rzucił okiem w stronę swego pulpitu i ujrzał, że Franek, który właśnie przyszedł, przewraca jego zeszyty. W jednej chwili skoczył ku niemu.

— A co ty tu robisz? Jak śmiesz ruszać moje rzeczy bez pytania? — krzyknął czerwony z oburzenia.

Franek spojrzał na niego ze złośliwym uśmiechem.

— Śmiem, bo ruszam — odparł. — Nie masz tak o co krzyczeć. Nic ci nie wezmę, tylko mi daj odpisać rachunki, bo ich nie mam.

— Ani myślę — rzekł Karolek, porywając zeszyt. Franek schwycił go równocześnie z drugiej strony i... nagle rozległ się złowrogi szelest, zeszyt rozdarł się na dwie części, z których każda została w ręku innego chłopca. Karolek oniemiał w pierwszej chwili i stał, jak posąg kamienny z przerażeniem w twarzy, z połową zeszytu w ręce. Nagle usłyszał śmiech Franka, który wywijał z tryumfem drugą połową, jak chorągiewką. Krew uderzyła mu do głowy; z krzykiem rzucił się na Franka i począł go bić z całej siły. Ale Franek był dużo silniejszy od młodszego od siebie o przeszło rok Karolka, więc mu oddawał tak mocno, aż słychać było. Nim koledzy zdołali przybiec na ratunek, ktoś przy drzwiach krzyknął:

— Uwaga, pan już idzie! *D. c. n.*

Pojazd w bezpiecznem miejscu przywiązali,
Postanowili iść choćby najdalej,
By zbadać wszystkie tajniki księżyca,
Który nas z ziemi tak zawsze zachwyca.
Idą więc naprzód nasi bohaterzy —
Patrzą się na dół, do góry, i wszędzie —
Co też za nowość na księżycu będzie?
Grześ,co wszystkiego był bardzo ciekawy,
Spostrzegł, że nigdzie niema drzew ni
{trawy,

„Byłe do ranka szczęśliwie doczekać —
Słonko zaświeci" — tak sobie mówili.
Grześ zasnąć nie mógł, więc rzecze Jasiowi:
„Kraj to nieznany jeszcze człowiekowi,
Więc sam się królem księżyca mianuję;
W niedługim czasie wszystko zabuduję,
Nastawiam wokół prześlicznych pałaców
Nasadzę łasów — traw i ananasów,
A gdy tych cudów zakończę budowę,
To podaruję ci z tego połowę,



Lecz same wzgórza i głębokie jary
Pewnie z tej strony księżyc jest już stary!
Więc się w przeciwnym kierunku udali,
Resztki zapasów z kieszeni dostali,
Idą i idą, wciąż naprzód wytrwale,
Widzą — że księżyc, to jest bryła wielka,
Nie tak, jak z ziemi, gdy w górę patrzeli —
Myśląc, że księżyc — drobna bagatelka.
Gdy znowu nocy zbliżyły się mroki,
Musieli szukać miejsca na spoczynek;
Więc wynaleźli sobie rów głęboki,
Z żalem, że z domu nie wzięli pierzynek.
Porządny mrozik zaczął im dopiekać,
Więc się do siebie obaj przytulili:

Abyś nie mówił, że Grześ to niecnota; —
Lecz jeszcze wielka czeka nas robota!
A jak już wszystko tutaj urządzimy,
Naszych rodziców sobie sprowadzimy".
Tak snuli mali wędrowcy marzenia,
Aż wreszcie mocno zasnęli z zmęczenia.
Gdy ranek nastał i słonko powstało,
Naszym wędrowcom znów się jeść zachciało
A tu jak na złość są pustki w kieszeni,
Lecz za to ciepło od słonka promieni.
Nagle spostrzegli tuż ponad głowami
Ogromną jakby górę z wieżycami.
Widać po stopniach wejście przewspaniałe
Soplami lodu ozdobione całe. *D. c. n.*

Marja Rozbierska.

Pierwsze wakacje Basi

Bajeczka — ciąg dalszy.

Janek Słomski, uczeń III kl. gimnażjalnej, byłby też chętnie siedział w obozie i spał z druhami w namiocie, ale rodzice nie pozwolili mu na to, bo słabego był zdrowia i mógł się łatwo zaziębić. Musiał więc z konieczności bawić się z siostrzyczką, Marysią, młodszą od niego o dwa lata.

Tylko od czasu do czasu wolno mu było pójść do obozu harcerzy, z których większość była kolegami Janka.

Marysia też tęskniła za towarzystwem, bo malutka Zosia była dla niej za mała, a znów z Jankiem nie zgadzali się w upodobaniach.

Najmilsze były wszakże dla dzieci soboty i niedziele, bo wtedy bywał i tatuś na wsi Zaraz po obiedzie w sobotę szło się wspólnie do lasu i można było palić ogromne ogniska, skakać przez ogień, puszczać kłęby dymu, dokładając do ognia świeże gałązki świerkowe, wreszcie piec ziemniaki, które najczęściej bywały przydymione i zwęglone, ale smakowały wybornie.

Razu pewnego siedzieli państwo Słomscy nad brzegiem lasu z najmłodszą swą Zosią a starsze dzieci biegały po lesie i zbierały gałęzie do podsycania ognia, kiedy z przeciwnej strony nadeszła druga grupa letników, składająca się również z rodziców i trojga dzieci.

Byli to nasi dobrzy znajomi — Kęccy. Franek z zazdrością spoglądał na duży ogień, który wesoło piął się w górę i rozbryzgiwał chwilami kaskadą iskier; Józia również przystanęła na chwilę, a widząc leżącą opodal suchą gałązkę podniosła ją szybko i dorzuciła do ognia.

— Józiu, Franiu — wołali tymczasem rodzice, widząc, że dzieci nie idą za niemi.

Zaraz, tatusiu, już idziemy, tylko chcieliśmy się przyjrzeć tym ślicznym płomieniom.

— Poproście, dzieci, rodziców, żeby wam pozwolili zostać tu na chwilę z nami — odezwał się przyjaźnie p. Słomski do Józi i Frania. — Pobawicie się razem, będzie wam wszystkim weselej.

— Ach jak to dobrze, dziękuję panu, — zawołał Franek — dopędzę rodziców i poproszę o pozwolenie.

Ale nie było kogo dopędzać, bo państwo Kęccy, widząc radość swych dzieci z ogniska przystanęli nie opodal i czekali cierpliwie na swoich malców. *D. c. n.*

Odpowiedzi Redakcji.

M. Friedmann — miło mi poznać nowego czytelnika. Łamigłówka twoja dobra, jedynie rozwiązanie: „Słowacki" było już tyle razy, że chyba nie prędko z tego powodu ją umieszczę. Kwadrat magiczny zbyt łatwy. *Z. Rojkowski* — po sprawdzeniu umieszczę w swoim czasie. *J. Krupa* — cieszy mię, że ci się „Złota trąbka" podobała, i to nie tylko tobie, ale i innym. Co do wierszy, to radzę ci nie przysyłać ich — bo w Dzwoneczku drukujemy tylko zagadki układane przez naszych młodych Czytelników lub też ciekawsze opisy przeżyć osobistych; wiersze wymagają talentu, znajomości rymu i rytmu, oraz głębokiej treści. *Józef Balko* — witam Cię, nowy przyjacielu.

Uwaga: Z powodu braku miejsca rozwiązania zagadek i nazwiska tych, którzy je nadesłali podamy w następnym numerze.

Kącik rozrywkowy.

Logogryf (uł. Edward Molik).

× . . . . . Obwarowanie z wozów
. × . . . . Łącznik elektr. podziem.
. . × . . . Część roweru
. . . × . . Uczeń szkoły oficer.
. . . . × . Strach (wspak)
. . . × . . Tura
. . × . . . 12 inaczej
. × . . . . Piękność
× . . . . . Wrażenie
. × . . . . Państ. w Eur. (wspak)
. . × . . . Objaw zaziębienia
. . . × . . Tymczasowe schronisko
. . . . × . Imię męskie

W miejsca krzyżyków wstawić litery, aby dały imię i nazwisko patrjoty polskiego.

Układanki (uł. Molik).

1) Zaimek + ryba = stolica państwa w Europie.
2) Drzewo + więzienie = stolica państwa w Europie.
3) Imię męskie + zaimek (wspak) + poeta polski = sławne miasto na południu Europy.

Kwadrat magiczny (uł. J. Lembas).



= roślina pastewna
= obraza
= miasto w Polsce
= wyspa na oceanie Atlantyckim
= zdrobniale kamień.

HUMOR

Nauczyciel, aby wbić swym uczniom w pamięć potrzebę myślenia, zanim coś się powie, poradził im, aby liczyli do 50, jeśli mają powiedzieć coś ważnego, a do 100, jeśli coś bardzo ważnego.

Na drugi dzień wykłada, obrócony tyłem do pieca, gdy spostrzega, że kilkadziesiąt warg porusza się gwałtownie. Nagle cała klasa krzyczy: „Dziewięćdziesiąt osiem, dziewięćdziesiąt dziewięć, sto. Pana płaszcz się pali".

Wychodzi pod redakcją Dr. E. Estreicherówej.
Redaktorka przyjmuje (Straszewskiego 18) w poniedziałki i piątki od 10-11 i we środy od 3·30-4·30
Drukarnia „Powściągliwość i Praca" w Krakowie, Kaz. Wielkiego 95.